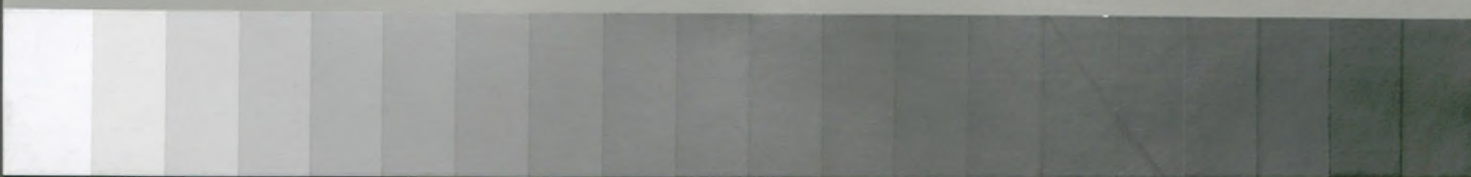




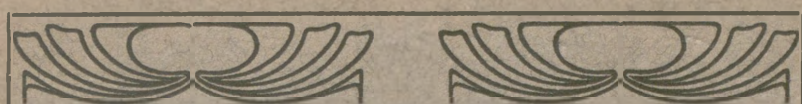
Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



12533/4



Stanisław Maciszewski

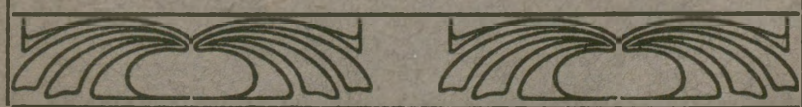
Rosjanie we Lwowie

SZKIC Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

Popłoch wojenny — O godzinę zapóźno....!
— Wjeście Rosjan do Lwowa — Wrażenie
klęski — Tadeusz Rutowski — Bizantyńska
fala — Rządy rosyjskie — „Lecopolis sem-
per fidelis”.

Lwów 1926

Z DRUKARNI KRAJOWEJ SZCZĘSNIEGO BEDNARSKIEGO



12533/4

Stanisław Maciszewski

Rosjanie we Lwowie

SZKIC Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

Popłoch wojenny — O godzinę zapóźno.....!
— Wejście Rosjan do Lwowa — Wrażenie
klęski — Tadeusz Rutowski — Bizantyńska
fala — Rządy rosyjskie — „Leopolis sem-
per fidelis”.

LWÓW 1926

Z Drukarni Krajowej Szczęsnego Bednarskiego



Stanisław Maciszewski

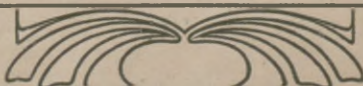

Rosjanie we Lwowie

SZKIC Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

Popłoch wojenny — O godzinę zapóźno.....!
— Wejście Rosjan do Lwowa — Wrażenie
klęski — Tadeusz Rutowski — Bizantyńska
fala — Rządy rosyjskie — „Lecopolis sem-
per fidelis”.

LWÓW 1926

Z Drukarni Krajowej Szczęsnego Bednarskiego



12.533/1

Tegoż autora:

CIERNIE..., fragmenty, Tarnopol-Warszawa 1908.

UBUDA nowele, Tarnopol-Warszawa 1909.

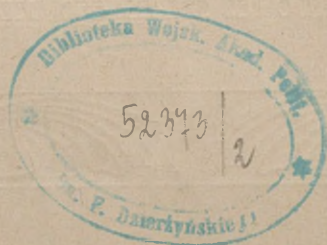
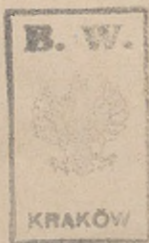
Studja krytyczne:

PRÓCHNO Wacława Berenta powieść współczesna, studjum popularne, Tarnopol 1909.

ŚMIERĆ studjum Ignacego Dąbrowskiego, studjum popularne, Tarnopol 1910.

W druku:

POGROM NAD SERCEM szkic z doby pierwszej rewolucji rosyjskiej na froncie małopolskim.



Jeszcze nie przebrzmiały echa entuzjazmu, manifestacji patriotycznych i pochodów, po wypowiedzeniu wojny przez Rosję w roku tysiąc dziewięćset czternastym, jeszcze genjusz z kolumny Mickiewicza zdawał się być zasłuchanym w milknące akordy potężnej Roty, śpiewanej u stóp jego przez tłumy, gdy pierwsze fale uciekającej z wschodniej połaci kraju ludności, oparły się we Lwowie. Złowroga wieść, że nieprzyjaciel jak powódź wlewa się do kraju, zmroziła entuzjazm, roznosząc popłoch w najdalsze osiedla. Buńczuczny ton prasy urzędowej, lekceważenie Rosji przez austriacką wojskowość, kłamliwe komunikaty wojenne z placu boju, fabrykowały fałszywy optymizm, któremu zasugerjonowane społeczeństwo polskie, śniące na jawie precudny sen o Somo-Sierze, Moskwie i Lipsku poddawało się bezkrytycznie. Pod wpływem bająn „press“ i „błatów“ o tchórzliwości Rosjan, o brakach wyekwipowania wojennego, o amunicji niepasującej do kalibrów broni, lub granatach nabijanych piaskiem, skłonne było uwierzyć, że krótkotrwała wojna będzie zwycięskim pochodem państw sprzymierzonych na carat, trawiony od czasu klęski japońskiej gorączką konspiracji, rozruchów i zamachów, wykuwanych przez młot rewolucyjny podziemnej Rosji. Dopiero uchodźcy, inteligencja polska, żydzi i koloniści niemieccy, umykający z dobytkiem lub bez niego na zachód, dopiero strach przed mściwością wroga, zdarły ze żrenic łuskę czarno-żółtego optymizmu.

Zdrada! Zdrada!

Ten okrzyk targnął trzewiami wrażliwszych. Z otchłani zbiorowej duszy wypełzał strach stuoki, stugębny, widzący wszędzie domniemanych zdrajców. Rozjuszył on wojskowość, zbudził katowskie instynkty soldateski. Ulice Lwowa zaroily się mrowiem ruskich chłopów, prowadzonych pod bagnętami żandarmów, jako prawdziwych i domniemanych zdrajców. Zatrzeszczały salwy plutonów egzekucyjnych wykonujących wyroki sądów polowych, zaskrzyptały gałęzie drzew obwieszane strasznym owocem. W okrucieństwie wyróżniali się Madziarzy, wieszający bez sądu, na podstawie zwykłego rozkazu służbowego. Tak zginął w Janowie pod Lwowem kilkunastoletni chłopak, powie-

szony na kasztanie przy głównej ulicy z powodu podejrzania o skrytobójczy strzał do żołnierzy, który nikomu zresztą nie wyrządził krzywdy.

Z jednej strony utrudnianie przez żandarmerję przenoszenia się z miejsca na miejsce, obstawienie rogatek lwowskich i dworców placówkami, gwałtowne wznoszenie i ustawianie zasieków z drutów i przeszkód dla kawalerji w bezpośredniej bliskości miasta, z drugiej zrodzone w wyobraźni widmo kozaka w papasze pod niebo, na olbrzymim koniu, przesłaniające cieniem połowę karty Europy i Azji, szerzyły płomień popłochu, porywający do ucieczki nie tylko tych działaczy, którym przezorność nakazywała usunięcie się z widowni, ale i miernoty, bojaźliwszych obywateli, umiejących myśleć tylko o bezpieczeństwie osobistym. Pogotowie samochodów pod gmachami władz cywilnych i wojskowych, pierwsze transporty jeńców rosyjskich z frontu, buńczucznych, uśmiechających się ironicznie, przywoicie odzianych i dobrze odżywianych, sprzyjały atmosferze szerzenia się popłochu i rosnącego napięcia nerwów pozostałej ludności. Słynna panika „czwartkowa“ przy końcu sierpnia, wywołana ukazaniem się od strony rogatki Łyczakowskiej kozackiego zagonu, dała początek masowej ucieczce ludności ze Lwowa. Odtąd ludność ta nie zaznała spokoju i równowagi ducha przez długie miesiące. Prasa pod dyktandem cenzury wojennej ogłaszała wciąż jeszcze dawniejsze zwycięstwa pod Krasnem i Kraśnikiem, ale widmo olbrzymiego kozaka przesłoniło horyzont. Gigantyczny cień otrzeźwił nawet jowialnych Niemców z nad Dunaju, odgrażających się przy kuflu piwa pochodem na Moskwę i Petersburg.

Po atakach kawalerji węgierskiej na okopy piechoty rosyjskiej pod Satanowem, umilkły ujemne anegdotki o sprawności i dzielności żołnierza rosyjskiego, o niższości umysłowej korpusu oficerskiego, i innych brakach, ośmieszających Rosjan przed Europą, dla dodania odwagi i wzmocnienia lojalności „moich ludów“. Spoważniały też komunikaty wysyłane do wiedeńskich gazet z frontu pod Lwowem, a słynny „Roda-Roda“ przytoczył nawet paradoks Fryderyka Wielkiego „że grenadjera rosyjskiego nie wystarczy przebić bagnetem, należy go jeszcze przewrócić“.

Powódz nieprzyjacielska parła z trzech stron do serca kraju niepewstrzymanie, przed nią zaś rwał popłoch, sięjąc zwątpienie i obalając miraż wielkich nadziei. Na dworcach kolejowych rozgrywały się dantejskie sceny o zdobyć miejscu w wagonach. Nocowano na tobołkach podróżnych, zawierających rzeczy najmniej potrzebne, pochwytywane w roztargnieniu, byle uprzedzić drugich, byle za cenę potrącania przez żołnierstwo, upokorzenia, nieraz utraty całego dobytku, uciec gdzie oczy poniosą.

Prasa dzwoniła na alarm ostrzegawczy przed lekkomyślnem opuszczaniem posterunków narodowych i społecznych, przed oddawaniem na zniszczenie mienia narodowego, lecz pokolenie wychowane w tradycji nienawiści do pamięci Murawiewa i Apuchtina, zapatrzone w Kossaka „Szarżę Czerkiesów“ na ulicach Warszawy, poddawało się bezkrytycznie fali, unoszącej tłumy na tułaczkę...

Wyrosłe w przerażonej jaźni zbiorowej olbrzymie widmo kozaka w papasze pod niebo, przekreślało trzonkiem nahajki kartę cywilizacji, na której strach przed mściwością, wypisywał ognistymi głoskami:

„Sybir — knut — szubienica“.

* * *

Moskale pod Lwowem!

Okrzyk ten rozlega się szerokiem echem po kraju... Kto dotąd panował jeszcze nad nerwami, ucieka. Dokąd? Nikt nie wie, nie zdaje sobie sprawy z tego, Byle naprzód, byle przed siebie. Komunikaty urzędowe uspakajają. Nikt im nie wierzy. Z piaskowej góry pod Wysokim Zamkiem gołym okiem widzieć można dymki pękających szrapneli... Groza pada na miasto. Gorączka oczekiwania zdarzeń wielkich, epokowych — trawi nerwy, opanowuje mechanizm życia. Wre ono, kołuje. Któż z nas zdawał sobie w roku 1914 sprawę z tego, co to jest wojna? Jeżeli już nawet musieliśmy się pogodzić z jej wybuchem, czyż optymizm nie przedstawiał nam jej jako zwycięskiego pochodu na Kijów, Moskwę, Petersburg?

Ostatnie dwa dni sierpnia rozwiewają wszelkie złudzenia. Wygląd miasta mówi za wszystko. Ruch wojenny wzmaga się z godziny na godzinę. Olbrzymie przeguby kolumn, taborów, jaszczów, armat, szeregi piechoty, przewalają się we wszystkich kierunkach. Wszędzie pośpiech, gorączka. Ulic nikt niema czasu sprzątać. Nawóz koński, żdźbła słomy, puszki z konserw, ślady śpiesznych przemarszów. Uznojony żołnierz ugina się pod ciężarem rynsztunku. Doskwiera mu upał. Sierpień pamiętnego roku był upalny tropikalnie. Mury i bruki zieją płomiennym oddechem, kostki kamienne parzą stopy. Wiatr podrywa tumany kurzu, rzuca je wściekle na szare od prochu kolumny, idące na płac boju... Armaty wybijają głucho, basowym pomrukiem takt coraz szybszy, coraz wyraźniejszy...

Zgiełk wojenny wzmaga się, jęki syren pędzących samochodów, trzask motocykli, mięsza się ze zgrzytem rels, dzwonieniem zniecierpliwionych motorowych, turkotem kół ciężkich wozów, brzękiem łańcuchów, kłapaniem podków meklemburskich ogierów. Nad rozgwar głosów

wybijają się okrzyki woźniców, klątwy i wrzaski we wszystkich językach Przed i Zalitawji.

— Winniki się palą! Rannych wiozą! Lwów otoczony! krążą z ust do ust wieści. Sznury, wozów tramwajowych posuwają się wolno, obciążone ciężko rannymi. Wielkie samochody Czerwonego krzyża kursują nieprzerwanie między szpitalami a placem boju. Widok ludzkiego cierpienia targa nerwy.

Ból rzeźbi w rysach ludzkich stygmat męczeństwa, rozszerza źrenice krzepnące wyrazem okrucieństw scen widzianych...

Każdy transport rannych osłabia w ludności nadzieję ratunku. Każda chwila przynosi decyzję dla tych, którzy dotąd nie uciekli z miasta. Troska wkradła się w kwitnące, pieniące się życiem dotąd miasto, czai się u bram domów, wlecze śladem mieszkańca, układa z nim do snu. Widmo upadku stoi u bram jego wyraźnie. Władze nocą wynoszą się chyłkiem. Panika osiąga szczyty. Nerwowi, wylekli przewidują wszystkie okropności szturm. Więc rzeź Pragi, Suworów, Paskiewicz, pożoga, mord, rabunek. Wyobraźnia pracuje jak kuźnia. Wróg do wczoraj był tylko pojęciem, dziś obleczony w ciało, stanie w murach miasta.

Noc błada, bezsennie spędzona, dłuży się rozpaczliwie. Pierwszy wrześnieowy poranek, przynosi powiew jesieni. Deszczyk mży, welonem melancholji przysłania miasto. Stygnie gorączka, przeradza się dusza, grzęźnie w beznamiętne rezygnacji.

Cokolwiek się stanie?... Bóg tylko wie...

Iskierki nadziei wykwitają nagle jak rakiety... Posiłki..! Niestety! Jak wszystko w Austrii „o godzinę zapóźno“.

Wczesnym rankiem idą do boju ostatnie rezerwy, wyborowe pułki strzelców tyrolskich, prawdziwe praprawniki Tella i Hofera... Lecz i oni nie mogą strzymać natarcia bagnetem rosyjskich kolumn. O godzinie 2-giej, 1 września, artylerja austriacka ściąga się z pozycji; Ociężałym, sennym krokiem wloką się zmęczone konie. Od kilkunastu dni karmione z ręki wychudły, szkielety odstają od uprzęży. Baterje odpływają zwolna na zachód. Od rogatki Łyczakowskiej poczynają w coraz szybszym tempie turkotać po bruku podwojny chłopskie, przepełnione rannymi Tyrolczykami. Mijają szpitale, dążą prosto na dworzec.

Publiczność obrzuca ich papierosami. Przyjmują niechętnie, nagłą do pośpiechu. Parkany szpitala na Łyczakowie obwieszane rannymi. Starają się wygramolić na sztachety, dowiedzieć się czegoś, usłyszeć. Niepokój ich wzrasta, im szybciej mkną podwojny. Ale już po czwartej długi szereg wozów kolei elektrycznej zatrzymuje się pod szpitalem. Sanitarjusze rzucają się do roboty. Zdrowsi przepychają się sami. Każdy ranny chce być pierwszym w wozie..

W godzinę później ulicami miasta poczynają płynąć kolumny obrony krajowej. Żołnierz apatyczny, umorsany brudem, konie oficerów wloką się z pospuszczanymi łbami, jakby rozumiały grozę sytuacji. Pod teatrem wzbiera rzeka żołnierska; płynie ku rogatom. W powietrzu słychać szum śmig. Podrywają się głowy ku niebu. Zuchwały ptak, nieprzyjacielski samotot zawisa nad kolumną, płynie jakiś czas nad nią jak jastrząb, zatacza kręgi, potem wzbija się, rzuca w przestwór, oddala się i niknie na horyzoncie.

Przeżona, zgnębiona, wylęgła na ulicę ludność, tłumnie otacza wojsko. Nikt nie pyta już o nic. Wszyscy rozumieją.

Fala po fali płynie na zachód. Bywaj zdrowe kochane miasto! Niejedna pieśń żołnierska znajduje twórcę w tej chwili.

Któż z nas znał wtedy Rosjan?

* * *

Umieliśmy patrzeć tylko przez wiedeńskie okulary, straszono nas ich barbarzyństwem, jak dzieci straszy się djabłem. Byliśmy jeszcze wtedy duszą po stronie tych, z którymi los złączył kwiat naszej młodzi, szarych strzelców i przyszłych bohaterów.

Nadeszła noc, jedna z najprzykrzejszych, noc oczekiwania wypadków z 1 na 2 września. Ucho łowiło echa człapania koni, turkot furgonów, milknące i odrywające się w ciemności głosy ludzkie. Prześliczny poranek jesienny, rozżłocony promieniami słońca zastał wielu mieszkańców u ram okien, wypatrujących zdarzeń przeżonemi trwogą żrenicami.

Nastała cisza. Dziwna, wprost ogłupiająca... Wojska austriackie wyszły z miasta, rosyjskie jeszcze nie weszły. Lecz wciągu nocy charakter ulicy uległ zmianie. Zniknął z niej charakterystyczny w rozmachu policjant, a wraz z nim symbol wszelkiej władzy „bączek“ z orzełkiem dwugłowym. Czapka z „bączkiem“, przedmiot wdychań podłotków, marzeń młodzieży szkolnej, matek mających córki na wydaniu, znikła naraz jak „niewidka“ z wszystkich głów, które dotąd dumnie się w nią przystrajały.

Na ulicach zjawiła się straż obywatelska, srodze uzbrojona w co kto miał. Nieodstępny towarzysz wszelkiego zamieszania, rabunek — wszczął się bowiem, zanim pogasły jeszcze ogniska na biwakach. Składy wojskowe na Janowskim, urządzenie dworca, dworzec towarowy w nocy już grabiono. Przed południem zjawiła się na wieżycy biała chorągiew, zaś na murach miasta odezwa do ludności, podpisana przez prezydium miasta.

Obywatele!

Wzywamy Was do największego spokoju. Nie wolno się płoszyć. Straż obywatelska czuwa nad bezpieczeństwem mienia i życia. Należy jej zupełnie ulegać. W komisarjatach miejskich urzędują komendy straży. Niech wraca normalne życie w mieście. — Sklepy, zwłaszcza z żywnością mają być otwarte do godziny 8 wieczór. Żadnych prowokacji.

Na Boga! Spokój, ład, porządek. Prezydjum: Rutowski, Sthal, Schleicher.

Niebawem miały wkroczyć wojska carskie.

W oczekiwaniu — upływał dzień — długi jak wiek. Nadzieja rychłej odsieczy, wyrastała w sercach tak szybko, jak szybko przychodziła utrata wiary w lepsze jutro...

Wreszcie 3-go września 1914 pierwsi kozacy pojawili się we Lwowie. Przejechały straże przednie, grupki oficerów, poczęły się toczyć powozy, telegi, bryczki. Zaciekawiał się lud ek lwowski i wylęł na ulice. W tysiącach źrenic tlił żal i upokorzenie. Gdzieniedzie tylko rozdzwonił śmiech snyderki. Od rogatek Łyczakowskiej, Stryjskiej i Żółkiewskiej poczęły płynąć fale wojska. Okazałe, rosłe, zdrowe, barczyste typy, rozsmiane twarze, błyskające z pod wąsów zęby. Szli ósemkami, przez całą szerokość ulicy, chłopcy pleczaste, nieobjuczone, o krwistych twarzach, odziani w zielone mundury, z pieśnią na ustach, która odtąd długo miała się rozlegać w murach Lwowa. Nie było w nich buty zwycięzców, ni urągliwego gestu. Oficerowi skromni, bez śladu zarozumiałości. Zdawało się, że morze wystąpiło z brzegów i wlewa falę po fali w ulice. Któż zliczył te pułki piesze, z rozwiniętymi sztandarami, rypiące butami w bruk, pod takt muzyk grających:

Oj Maskwa — Maskwa
Zołotaja gałowa!

kawalerji, artylerji, kozaków, tatarów, czerkiesów? Olbrzymi tabor, jaszczce z amunicją, prywatne ekwipaże oficerów. Ludy półświata dały sobie spotkanie na ulicach Lwowa.

Tak mógł ciągnąć tylko Kserkses na podbicie Grecji. Obok pięknych typów z południowej Rosji, skońnoocy Tatarzy, żołci Mongoli, śniadzi Gruzini. Kraśniej wplecione, w zieleń mundurów niby maki, pąsowe baszłyki, pstre kilimki pod siodła, lśni broń nabijana mosiądzem. A na przegwar głosów, turkot kół, dźwięk żelastwa, wybija się smętna, tęskna melodja:

Oj Maskwa — Maskwa
Zołotaja gałowa...

Wnet z Zamku i cytadeli armaty wytykają na miasto paszce... Na wieżycy prastarego grodu powiewa już trójkolorowa chorągiew...

Lwów niemieje.



Wszystkie sklepy szczelnie zamknięte. Mnóstwo okien przysłoniionych. Obawa, by jakiś strzał oddany lekko-myślnie lub prowokatorsko, nie dał powodu do pogromu, przebijają się na obliczach mieszkańców. Wyglądają oszołomieni końca pochodu ludów, naprzóżno. Lasy bagnetów płyną ulicami miasta przez kilka dni nieprzerwanie. Pędzą za nimi całe stada wołów olbrzymich o rozłożystych rogach na rzeź, stada baranów. Pocziwe nasze przekupki u straganów załamują ręce, kiwają głowami, dziwią się:

— Boże! Boże! Co też nasi poczną z nimi? Gdzieto oni temu wszystkiemu dadzą radę?

A pocziwy ludek, poczuwszy, że na gardło jego i kieszeń nie dybią, coraz śmiej wygląda na ulicę. Wnet nie poznasz po nim troski, dławiącej go do niedawna niby zmora. Pojawiają się nawet strojnziej ubrane panie, usta dziewczęce układają się do uśmiechu zalotności...

Pęłzące samochody rozrzuciły już po mieście manifest Widkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza, zaczynający się od słów:

— Polacy! Od morza Bałtyckiego po morze Czarne ciągną zastępy rosyjskie! Niosą wam one wolność!... itd. Na murach zjawiają się łokciowe manifesty, pełne kuszących obietnic.

Ale serca zamknięte. Myśli biegną śladem szaropiórych orląt których piersi niedawno wyrzucały przed odlotem pieśń „Nierzucim ziemi!“ Byłóż takie serce polskie, któreby wtedy uczuciami nie biegło śladem owego „tysiaca?“ Hej! Orle to były loty, łuna biła na czoło, dźwigała się dusza na wyżyny marzeń, spełniał się sen o Cudzie... Więc chociaż rozwały się bramy, serca pozostały zamknięte. Obietnic nikt nie brał poważnie. Maską chłodu okryła wszystkie oblicza.

Pazur niedźwiedziej łapy, obszyte aksamitem, zbyt widocznie przezierają w gestach pańsłowiańskiej uprzejmości, podszytej bizantyństwem.

Łapa i chciała podstępnie, słodyczą, ująć w pazury serce i duszę polskiego Piemontu...

Chwyć! próżnię...

* * *

Upadek ówczesnej stolicy zaboru austriackiego, wstrząsnął do głębi nerwami społeczeństwa. Lwów był kuźnicą patriotycznej myśli i czynu, promieniującą skrami inicjatywy na całą Polskę. Wrzała w nim praca oświatowa i propagandowa, dbywały się doraźne zloty sokolstwa, przechowywały się tajemnice narodowe, i kultura polska gniebiona i zacieraną rzez wrogów w innych dzielnicach Polski. Był to polski Piemont na wschodzie, ogniskujący w swych

murach działalność na polu uświadomienia narodowego zaniedbanych warstw, na ziemiach czerwieńskich, Podolu i Pokuciu, więc upadek odczuł cały kraj, bo zerwał nici wiążące kunsztownie sieć organizacji narodowych całej jednej dzielnicy. Wprawdzie nikt w kraju nie wątpił, że władztwo Rosjan we Lwowie będzie przejściowe, a miasto zmieniło tylko dzierżawcę, jednak niedoświadczenie wojenne ludności, zaskoczony klęską tam, gdzie oczekiwano zwycięstwa, pogrążyło nie tylko mieszkańców Lwowa, ale całego kraju w nurt rozczarowania i przygnębienia, od których pod pierwszym wrażeniem opadły wszystkim ręce.

W pierwszych dniach po kapitulacji, zanim ludność oswoiła się z nowym położeniem, utknął bieg zajęć codziennych, popchnięty naprzód dopiero przez odezwy prezydium miasta i ukazy gubernatora pułkownika hr. Szeremetjewa. Prawie wszystkie żydowskie i bardzo wiele sklepów kupców katolickich było zamkniętych, gdyż właściciele ich w panicznym strachu opuścili miasto. Kramy, bazy i stragany stały opuszczone, mieszkańcy którzy pozostali z konieczności na miejscu wążęali się apatyczni po ulicach, przyglądając się przygnębnym wzrokiem maszerującym coraz to liczniejszym zastępom Rosjan, i wypatując czy ruchy wojsk nie wywróżą im rychłej odmiany szczęścia wojennego.

Wiara w potęgę państw sprzymierzonych uwierdziła się tak silnie, że tematem wszystkich rozmów był nadzieja rychłego oswobodzenia. Echa salw działowych w bitwie na linii Wereszyce, pod Janowem i Gródkiem, od których drżały szyby w mieszkaniach na przeciwległych jeryferjach miasta, były przez ośm dni po zajęciu Lwowa, najmiłszą muzyką mieszkańców, budzącą i gaszącą ich nadzieje, w miarę przybliżania lub oddalania się odgłóów walki. Był moment, gdy bój przysunął się tak blisko ogatek Janowskiej i Gródeckiej, że oczekiwano wkroczenia wojsk austriackich. Poległ wtedy generał rosyjski von Łode, który pierwszy wkroczył do Lwowa, dostawszy się wraz z sztabem w Zalesiu pod Janowem, w promień ostrzału artylerji austriackiej. Silne rezerwy rosyjskie płynące nieprzerwanie dniem i nocą od granicy, zlikwidowały chwilwy nacisk szczupłej armji austriackiej, cofającej się na Jarstaw. Należało na razie wyrzec się nadziei i pomyśleć o ułożeniu znośnych stosunków i o środkach do życia.

Upadek Lwowa zaskoczył niespodziewane masy inteligencji urzędniczej, wdów, sierót i emerytów pberających uposażenia z kas Skarbu austriackiego. Zosta oni porzuceni na łaskę losu przez władze rządowe, wpiierające się na ewakuację miasta jak na krótkotrwałe spcer. Jeszcze na wsiędanem do samochodów, wydawano rozkazy uczęszczania do urzędów, zaś na toalecie w mieszkniu namiest-

nika Korytowskiego, znaleźli następnego dnia urzędnicy Namiestnictwa, kolję pani namiestnikowej zapomniana w pośpiechu. Rzemieślnicy i ludność uboższa bez zapasów żywności, znalazła się bez zarobku. Kredyt w sklepach, które pootwierano na rozkaz prezydium miasta był ograniczony z powodu moratorium, instytucje finansowe wywiozły wszystką gotówkę do Wiednia. Pozostałe oddziały Kasy Oszczędności Krajowej i Miejskiej, Banku Hipotecznego i Krajowego, dopiero znacznie później po ustaleniu się stosunków i wniesieniu przez kupców wkładek z zarobionych pieniędzy, mogły udzielać zaliczek i pożyczek pod zastaw kosztowności, będąc stale oblegane przez inteligencję.

Widmo zimy w strasznych warunkach, wypędało wieczorami i nocą ludność wszelkich stanów i zawodów na wyprawy po szczyptę opału do pobliskich parków i lasów, które wnet uległy znacznemu zniszczeniu. Widziało się dygnitarzy rąbiących ukradkiem drzewo, dzieci z najlepszych domów ciągnące wózki lub sanki z opałem, którego brak na równi z brakiem pieniędzy dawał się odczuwać. Słynne nasze „nie wypada“ ten małopolski kanon towarzyski, stojący na przeszkodzie demokratyzacji inteligentnych warstw, obaliła potrzeba walki o byt. Kto jeszcze do niedawna patrzył z poczuciem wyższości na pracę fizyczną, ten wkrótce nabrał przekonania, że żadna praca nie hańbi, i stawał przy kierownicy wozu tramwajowego, rąbał drzewo, nosił ciężary, i nie było pracy, którejby się nie podjął. Panie z tzw. towarzystwa, artystki teatralne, ziemianki odcięte od majątków, zajmowały się przemysłem domowym, otwierały mleczarnie i herbaciarnie, garnęły się do sklepów, żyły bielizną, byle nie być zmuszonymi oglądać się na jałmużnę. Znana powieściopisarka, artystka teatralna i autorka popularnych sztuk „Tamten“, „Sybir“, „Car jedzie“ i innych G. Z. utrzymywała z innymi artystkami cukierenkę „Dworek“ przy ul. Akademickiej, popularny literat i poeta lwowski grywał w kinematografie podczas przedstawień na fortepianie, dyplomowani inżynierowie pełnili służbę motorowych, akademicy wynajmowali się do rąbania drzewa opałowego, urzędnicy zostawali bileterami, pośrednikami i czem kto mógł i kim być umiał.

Instynkt samozachowawczy rozwinął tak mało wszczepiane u nas poczucie samodzielności, i oduczył młodzież myśleć kategorjami myśli urzędniczych i marzeń o czapce z bączkiem.

Najwcześniej otrząsnęło się z depresji rdzenne mieszczactwo, kupiectwo lwowskie, zorientowawszy się, że społeczeństwo nie składa się z samych urzędników, związanych losami i służbą z rządem austriackim, i nieprzystępnych polityce ugodowości, propagowanej przez obóz

narodowo-demokratyczny w najpoważniejszym wtedy organie „Słowie Polskiem“.

Podjąwszy inicjatywę nawiązania handlowych stosunków, umiejętnie wykorzystywało koniunkturę, sprzedając zyskownie nagromadzony towar, oraz otrzymując wielkie zamówienia do Kijowa i Odesy. Wzmocnione znacznie materialnie, niosło pomoc niedołącznemu stanowi urzędniczemu, oddając znaczne na owe czasy datki na cele filantropijne, zakładając i zaopatrując kuchnie dla inteligencji, gdzie za skromną zapłatą, żywiono ją wcale przyzwoicie.

Kiedy bowiem wyczerpały się jakie takie jej zapasy i rozlazła się ostatnia pensja, a mróz umalował okna, bieda, chłód i głód zagładnęły do mieszkań urzędniczych i tych wszystkich, którzy umieli żyć tylko z poborów stałych i zaopatrzeń. Widziało się chociaż rzadko, osoby inteligentne z największym zażenowaniem wyciągające do obcych ręce po jałmużnę. I niewiadomo jak daleko posunąłby się upadek zrozpaczonej inteligencji, gdyby opatrność nie wysunęła na czoło męża, który jak prorok biblijny karmiący swój lud, wywiódł go z domu niewoli. Jeżeli trafną jest hipoteza, że w chwilach przełomowych dla narodów, w dniach klęski i upadku ducha, epoka wydaje męża którego hart duszy, twórczość natchniona i czyn, odwracają od narodów klęskę i chronią je przed nikiemnością, przed załamaniem się moralnem, to twiedzić można, że ówczesna doba wydała takiego męża z pośród obywateli Lwowa.

* * *

Był nim Tadeusz Rutowski.

Przeznaczenie wyniosło go po opuszczeniu Lwowa przez prezydenta Neumana na fotel pierwszego włodarza dwustotysięcznego grodu i pozwoliło nazwisko swoje zapisać w dziejach jego niezatartymi nigdy zgłoskami. Obdarzony niepospolitymi zaletami umysłu i serca, urodzony dyplomata i administrator, przyjął na barki troskę o bezpieczeństwo, mienie i życie ludności ukochanego grodu, i okazał się tym mężem opatrnościowym, którego posłannictwem była obrona godności narodowej wobec wroga, podniesienie ducha społeczeństwa, umocnienie wiary w niepożytość energii narodu, oraz w skuteczność samopomocy. Kiedy inni tracili głowy w obliczu ogromu zadań; wyżywienia mas inteligencji i proletariatu, wobec braku funduszków, dezorganizacji warstatów pracy i żądań administracji rosyjskiej, On jeden stał ponad wszystkimi jak Tytan ducha, zapatrzony w przyszłość Polski oczyma pogodnego myśliciela, jakby ufny w maksymę rytą na sygnetach wschodnich „I to przeminie“

Czuwał nad duszami polskimi, których rząd powierzył mu wtedy przeznaczenie. Przegradzał je swoją osobą od ujemnych wpływów, jakie starała się posiać polityka wroga. Bez uszczerbku dla godności, umiał uzyskać fundusze na wsparcie wstydzącej się żebrac, a nie mogącej pracować ludności, umiał nawiązać kontakt z współbraćmi z Kongresówki, zainteresować tamtejsze komitety filantropijne losem Lwowa, zorganizować wśród zamożniejszej warstwy w miejscu akcję dyskretnej pomocy, i otwierać źródła pracy. Nie było w owym czasie we Lwowie człowieka, któryby się do tej szlachetnej, jakby dla dłuta mistrza stworzonej głowy myśliciela, nie odnosił z najwyższą czcią i uznaniem wielkości, płynącym z potrzeby oddania hołdu jego obywatelskiej zasłudze. Do gabinetu jego w ratuszu śpieszyły codziennie tłumy. Nikt nie opuszczał progów jego niepodniesiony na duchu, niewsparty dyskretnie datkiem jeżeli tego potrzebował, a czasem zaś niewyłąjany dobrodusznie za utratę wiary w bliską, lepszą przyszłość.

Przy całym ogromie pracy administracyjnej i filantropijnej, esteta i wielbiciel sztuki, nie zapominał o swych artystycznych upodobaniach. Organizował wystawę sztuki przy ul. Akademickiej, siłami które pozostały w mieście, pamiętał o estetyce wydawanych przez Zarząd miasta banknotów, interesował się ochroną zabytków historycznych i dobytku kulturalnego miasta, przestrzeganiem tradycji lokalnych, etykiety względem dygnitarzy obcych i zwyczajów lokalnych względem pozostałych rajców.

Był patronem wszystkich kooperatyw gospodarskich, urzędniczych, rzemieślniczych i artystycznych. Zawsze umiał znaleźć chwilkę, aby wpaść do kuchni Koła artystyczno-literackiego, na wystawę Sztuki przy ul. Akademickiej, mimo iż obowiązki reprezentacyjne zmuszały go przyjmować o każdej porze rosyjskich dygnitarzy i zwykłych praporszczyków. A przytem umiał zachować pogodę ducha i filozoficzną wyższość umysłu, humor sarkastyczny, rzeźkość i równowagę, z której nie zdołała go wyprowadzić ani szorstkość, ani przewaga najeźdźcy. Opowiadano o nim, że przed ewakuacją miasta w czerwcu 1915 roku, generał gubernator hr. Bobryńskij zaniepokojony postępami ofensywy pod Gorlicami, wpadł do jego biura zdenerwowany z żądaniem wydania odezwy do ludności, by zachowała spokój na wypadek ewakuacji, wyrażając się najgorszymi następstwami, gdyby nie udzielono na to gwarancji.

Rutowski miał wysłuchać spokojnie pogroźek wzburzonego dygnitarza i odpowiedział z całym spokojem ducha:

— Ekscelencjo! Ja już raz gwarantowałem za spokój kiedyście wkraczali, obecnie kolej na Waszą Ekscelencję!

Ta odpowiedź charakteryzowałaby najtrafniej jego stosunek do Rosjan. Nie było w nim nic ze serwilizmu,

trwogi, pochlebstwa dla siły, ale uprzejma wyższość cywilizacyjna, uginająca się w granicach przyzwoitości przed chwilową przemocą, i nakazująca nawet wrogowi szacunek dla godności osobistej i narodowej. Z pamięcią owych dni zwątpienia, z sylwetą konturów wieżycy Lwa, cerkwi wołoskiej, kopuł i fasad starych charakterystycznych dla grodu gmachów, kościołów, z historyczną przeszłością miasta, zrosła się wtedy na zawsze sylweta pierwszego obywatela miasta, filantropa i myśliciela. I jeśliby mógł stanąć jeszcze kiedy jego pomnik dłuta Canowy, nie mógłby być wspólniejszy, od pomnika w żywych sercach ludzkich, jaki sam sobie postawił. Ani prawdziwie królewskie przyjęcie jego po powrocie z wygnania, ani uczczenie pamięci jego dotychczasowe, nie może być uważane za spłacenie długu wdzięczności obywatelskiej za niepożyte zasługi wielkiego Polaka, obywatela miasta i człowieka.

* * *

Miasto zmieniło dzierżawcę, lecz zachowało godność własną. Lwów widział kiedyś w swych murach Szwedów, którzy go złupili niemiłosiernie i Deutschmeistrów zakładających się o cwancygiery za celne strzały do przechodzących ulicą kobiet. Germanizowała go sfera czeskich urzędników, którzy za Józefa II przywędrowali z tresowanymi papugami i pudłami szukać szczęścia w „Bärenlandzie“ a dorabiali się majątków i zostawali pionierami germanizacji, mimo to zawsze pozostał polskim, bo fala obcych rozbijała się o puklerz serc, przywiązanego do niego patriotycznego, konserwatywnego mieszczaństwa.

Umiało ono zabezpieczyć przed pożądliwością wroga kulturalny dobytek miasta, liczne zbiory starożytnej broni, ksiąg i innych skarbów, nagromadzonych w licznych muzeach i bibliotekach, uchronić i ocalić wszystko cokolwiek ma związek z jego przeszłością. Rosjanie zażądali wydania wszystkiej broni przez mieszkańców, nawet antycznej, nawet szpad urzędniczych. Wśród zniesionych do ratusza stosów broni myśliwskiej, siecznej i palnej, znalazło się wiele broni o wartości antycznej, historycznej i muzealnej, którą przeczornie umieszczono w muzeum Króla Jana Sobieskiego, jakgdyby przewidując, że po spełnieniu rozkazu, kozacy i czerkiesi będą obnosili na ramieniu po dwa i trzy sztuce myśliwskie, zrabowane, lub ukradzione w ratuszu.

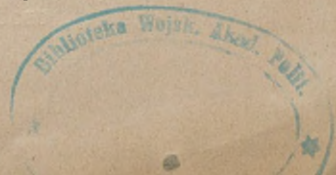
Surowy zakaz podawania napojów spirytusowych był naogół skrupulatnie we własnym interesie przestrzegany, jakkolwiek pierwszorzędne lokale śniadaniowe i restauracje płaciły wielkie grzywny za wyłamywanie się z pod niego, nie mogąc oprzeć się pokusie szczerze sypanych za alkohol imperjałów. Teatr był zamknięty przez cały przeciąg okupacji. Rosjanie ustanowili przymusowo wysoki

kurs rubla, równający się trzem koronom trzydziestu trzem groszom austriackim, ale szybka orientacja kupiectwa przez odpowiednie podniesienie cen, umiała zapobiec skutkom dewaluacji korony. Inaczej liczono za towar przy zapłacie koronami, inaczej rublami. Miasto wydało własne bony 1-no i 100-tu koronowe, brane chętnie przez kupców w obrocie wewnętrznym z początku al pari, później ze znacznieszą stratą na kursie. Z biegiem miesięcy, gród stawał się centrem władz okupacyjnych, punktem węzłowym i rozdzielczym armji obiegającej Przemysł.

Bizantyńska fala zalewała go coraz wyżej, wciskała się coraz głębiej w głąb kraju, niosąc na grzbiecie argonautów chciwych łupu, rusyfikatorów, prowokację, zarazki destrukcyjne pod flagą panslawistycznej idei. Zewnętrzny charakter ulicy ulegał zmianie, pociągając się pokostem wyglądu miasta wschodniego. Zazieleniły się one kolorem mundurów wojska, urzędników, policji, oficerów formacji pozafrontowych. Miejsce wykrygowanych figurek, lowelaśców z „corsa“ z monoklami w oku, rozpostartymi łokciami potrącających cywilnych, i powłóczących nonszalanśnie szabelkami po bruku, zajęły krwiste, marsowe, wąsiaste typy, gibcy rasowi Czerkiesi, śniadzi Gruzini, ociężali „zemlacy“ z nad Wołgi czy Jenisiej, naiwnie dobrodusznii Mongoli z nad Amuru, poruszający się zamasyście, przesadnie ugrzeczniejsi wobec cywilizacyjnego starszeństwa, z nieodłącznym „winowat“, „izwiniajuś“, „pardon“, a z szczególną galanterją względem płci słabszej.

Na jezdni poczęły turkotać kałamaszki, zaprzężone w „trójki“, jednokonne bidki z charakterystycznymi kabłąkami, zjawił się „gorodowyj“ z dobrodusznym wyrazem twarzy, ale srogą nahajką uwiązaną do pochwy szaszki. Ruch uliczny wzbierał jak fala, przepuszczając wszszkimi arterjami komunikacji, olbrzymie transporty żywności, amunicji i sprzętu wojennego. Rezerwuar ludzki, który pęknął gdzieś nad Wołgą, Czarnem Morzem i Amurem ciekł nieustannie żywymi potokami ludzkimi. Nie było może takiego dnia w ciągu kilku miesięcy okupacji, by nie przeciągał przez miasto oddział wojska, lub transport rannych, by nie pędzono bydła na rzeź, nie wieziono sprzętu wojennego, furazu, stosów kozuchów, bielizny, szynelów.

Pieśń żołnierska, która przy zajęciu miasta rozbrzmiała w jego murach, nie milkła przez szereg miesięcy. Szli lub jechali zawsze z pieśnią, wyrzucaną z piersi silnymi głosami, niekiedy grubą, rubaszną, to znów owianą melancholją stepów, tęsknotą łanów, poszumem borów rozdrganych głosami ptactwa, porykiem burzy. Dzikie, jakby tęsknotą pijane melodje, wyciągane w zawodzące trele, śpiewali czarnomorcy w takt nahajki służącej za batutę. Największe zainteresowanie mieszkańców budziły przemarsze



konnych pułków Czezeńców i Turkmenów. Pod głos gęśli, preraźliwych piszczałek i bębnow z brzękadłami, przeciągała zimną mahometańska konna dywizja, wycofana z frontu kaukaskiego, z obawy przed przejściem jej do Turków. Powiewał nad nią zielony sztandar z półksiężcem. Wspinali to byli jeźdźcy we włochatych czarnych burnusach, w zawojach z baszłyków na modę wschodnią na głowach, potomkowie Tuhaj-beja, jakby żywcem z epoki z przed dwu stuleci przeniesieni na ulice europejskiego miasta.

Typy wojowniczych orłów górskich, zrosnięte z wysockimi, zdobnemi w mosiądz kulbakami, na zwinnych, pięknych, rasowych koniach Rynsztunek wojenny, szaszki i kindzały, przyciągał oczy piękną grawurą. Często wysadzana turkusami i krwawnikiem, srebrna oprawa pochew, i krzyż w rękojeści pozwalały przypuszczać, że między przodków tych dżygitów przed wiekami, zamieszła się niejedna zdobyczna karabela. Z łomotem, tatarską modą, z piskliwą orkiestrą na czele, z rozwiniętym sztandarem, przeszła ta dywizja głównymi ulicami, defilując pod hotelem Georga, gdzie przeglądu dokonał jeden z Wielkich książąt. Prawdziwą sensacją dla łobuzów lwowskich, był jakiś czas pop prawosławny, w półcylinderku czarnym, fioletowej, pasowej lub czarnej „riasie“, z warkoczykiem związanym kokardką, w złożonym łańcuchu na szyi, zamkniętym ogromnym krzyżem na piersiach. Uorderowany zwykle jegomość, wycierający ukradkiem dobrodusznie nos palcami, w towarzystwie krzykliwy, nieco gapiowaty, ciągnął za sobą orszaki natrętnych łobuzów lwowskich, narzucających mu się z usługami.

Żadna cierpliwość nie wytrzymałaby tylu prób, ile znosiła dobroduszność tych rosyjskich przybyszów, biorących za dobrą monetę, pokpiwanie urwipolców czyszczących obuwie, roznosicielei gazet, wyrostków sprzedających papierosy, zapałki i pocztówki po ulicach.

Za armją zjechały licznie rosyjskie damy z towarzystwa, żony oficerów, aktorki i ekscentryczne awanturnice, jako towarzyszkii dygnitarzy, lub Siostry miłosierdzia w Czerwonym Krzyżu. Potężna ta instytucja rozporządzająca własnymi luksusowymi pociągami, pozostawała pod protektoratem carowej, i skupiała wiele osób wyższego rosyjskiego towarzystwa i arystokracji, szukającej emocji w przygodach czasu wojennego. Nierzadkiem zjawiskiem na bruku lwowskim, była twarzyczka o pięknym, arystokratycznym, rasowym profilu, anielskim wyrazie oczu, postać czarująca perwersją ruchów, zawsze według ostatniej mody paryskiej ubrana, otulona futrem bajecznej wartości, z pod którego wabił wzrok wstydliwie się kryjący, kokieteryjny fartuszek Czerwonego Krzyża, płat pajęczej tkaniny, na wykwintnych strojach, szeleszczących wabliwie jedwabiami tajników kobiecej garderoby. Zastępował on przepustkę wojenną i legitymację osobistą.

Wykwintne siostrzyczki uwijały się w towarzystwie wyższych sztabowców po pierwszorzędnym restauracjach, w samochodach, w eleganckich ekwipażach dwukołowych, z wysokim siedzeniem, z „izwoszczykiem“ na koźle, zakutym w szubę z szerokimi rękawami, przepasaną krasnym pojasem, w nieodzownym półcylinderku, z brodą do pasa, dzierżącego z godnością lejce rozhukanych rysaków, nadając temperamentem ruchowi ulicznemu tło szerokiej ruskiej natury.

* * *

Im dalej odsuwał się teren działań wojennych, tem pewniejszą stopą stawali we Lwowie Rosjanie, tworząc w nim ognisko wielkich szpitali, składów, centralę Zarządu Czerwonego Krzyża i Wszechrosyjskiego Związku ziemskiego. Niezliczona ilość samochodów ciężarowych zwoziła z głębi Rosji środki opatrunkowe, bieliznę, odzież, broń, amunicję, gdyż operująca pod Przemyślem armja uzupełniała materiał wojenny przez Lwów. Płynęły stąd znaczne korzyści dla kupców i rzemieślników, którym sprzyjała konjunktura, Rosjanie płacili bowiem hojnie, czynili wielkie zakupy, i nie byli zbyt wybredni. Utrzymanie ładu i komunikacji kolejowej sprzyjało nawiązaniu stosunków kupieckich z firmami kijowskimi i odeskimi, oraz przyczyniło się do wzmocnienia poczucia bezpieczeństwa. Dość rzadkie wypadki rozbicia sklepów, przeważnie szynków opuszczonych, rabunek pieniędzy konduktorom kolei elektrycznej, odbierania zegarków członkom milicji obywatelskiej, przestały się wkrótce po zajęciu powtarzać, ukrócone silną ręką pierwszego gubernatora pułkownika hr. Szeremietiewa. Wywożenie zbyt kosztownych mebli z opuszczonych mieszkań, kantorów i instytucji finansowych, pod formą rekwizycji urzędzenia dla sztabów, biur i kwater generalskich, tuż prawie przed opuszczeniem miasta, pozwoliło dygnitarzom, zaopatrzyć się na drogę w upominki z fortepianów i urządzeń klubowych. Pośpiech ewakuacji stanął jednak bardzo na przeszkodzie wywiezieniu co znaczniejszych przedmiotów.

Oślawiony „gradonaczelnik“ Skałłon, po przyjęciu Mikołaja II w pałacu Potockich, wziął w przechowanie wspaśniałą zastawę stołową panów z Antonin, musiał ją jednak zwrócić w dwa lata później, pod grozą utraty rangi, praw stanu i zesłania na Sybir, na skutek potężnych wpływów jej właścicieli. Gorzej działo się na prowincji, gdzie miasteczka obracano w perzynę, a ludność uboższa i szumowiny zwoziły na plac Strzelecki, Krakowski i Rybi zrabowane mienie, znajdując skwapliwych nabywców. Ludziom wolnym od przesądów o cudzej własności, sentymentalizmu i skopułów sumienia poczęto się wcale dobrze powodzić. U warstw dotąd ciężko pracujących zrodziła się prawdziwa sympatja

dla wojny — żywicielki. Pozostawiona na straży dobytku służba domowa, uprzykrzywszy sobie cnotę wierności i upewniwszy się o nierychłym powrocie właścicieli, dobrała się do powierzonego jej mienia.

Dało to początek pojawieniu się wielkiej ilości dam w świetnych jedwabiach i drogocennych kapeluszach, wonejących przepysznyimi zapachami perfum, które pozostawiły ich panie, wybierając się na tułaczkę, jak na kilkudniową przejażdżkę.

Zrazu przezornie, później licznie zjeżdżają do Lwowa rosyjscy kupcy. Pominąwszy żydów w mniej lub więcej egzotycznych czerkieskach, papachach i butach o marszczonych cholewach, szwargoczących obrzydliwym rosyjsko-niemieckim żargonem, prawdziwy kacap, klnący po „matuszkie“, obrotny, w miarę solidny, orjentował się szybko w stosunkach handlowych, sprowadzając towar popytny. Znając ukryte ścieżki w labiryncie rodzimej biurokracji, umiał pokonać trudności dostawy i bogacić się w krótkim czasie niegorzej od Greka lub Żyda. Patrijotyzm kupiecki nie był zbyt silny. Od chłopów lub żydów po miasteczkach wielu z nich nabywało broń pozbieraną na pobojuwiskach, którą przemycali dla powstańców na Kaukazie. Biurokracja umiała zawsze zanurzyć „końce w wodzie“, gdy odkryto taki mniej „koszerny“ interes. W stosunku do kupców miejscowych przekraczających ceny lub zachowujących się arogancko, biurokracja uciekała się do surowych kar pieniężnych, a nawet zdarzył się wypadek chłosty cielesnej.

W stosunku do ludności zawojowanej, starała się ona utrzymać pozory europejskie. Poszkodowanym przez rabunek, wydawano listy ochronne z upoważnieniem do korzystania z asystencji wojskowej przy poszukiwaniu swego dobytku. Rzeczywiści radcy stanu wychodzili do petentów do poczekalni osobiście, odbierając od nich prośby i zażalenia. Starali się być bardzo wyrozumiałymi i uprzejmymi.

Niemalą rolę w tem grały względy polityczne, chęć pozyskania sympatji ludności polskiej i zjednania jej dla manifestu W. Księcia Mikołajewicza. Rząd śpieszył z pomocą zagrożonej głodem ludności, sypał hojnie datkami w postaci artykułów żywności i zapomóg pieniężnych. Rozdzielały je dwa razy w miesiącu komitety dzielnicowe, przez mężów zaufania. System ten pozyskiwał dla Rosjan sympatje najniższych warstw, przyzwyczajających się łatwo do lenistwa, beztroski i gratysek. Z prawdziwym zaparciem się miłości własnej, z upokorzeniem zmuszeni byli podejmować te dary urzędnicy i inteligencja: dopóki instytucje finansowe pozostałe w mieście, zasiliwszy oszczędnościami kupców zapasy kasowe, nie pomyślały o ulokowaniu kapitałów w zaliczkach na płace urzędnicze.

Długotrwała okupacja, bezczynność, zanik kulturalnego życia, oddziaływały ujemnie na nastrój inteligencji, cierpiące moralnie i fizycznie, upokorzenie i niedostatek. Nieporadna wobec braku codziennych zajęć, zmagająca się ze zmorą zwątpienia, w rozterce z przekonaniami własnymi, pod wpływem zmiany orientacji w części społeczeństwa polskiego, wyrosłej na gruncie manifestu W. Księcia Mikołaja Mikołajewicza, dochowała jednak wierności ideałom, które wydały czyn legjonowy. Nie poszła na lep gładkich frazesów grafa Bobryńskiego, obiecującego Polakom stanowiska rządowe do zastępcy gradonaczelników włącznie... od Tarnowa na Zachód... Trwała przy tradycji poszanowania zwyczajów i obrzędów religijnych więcej niż kiedykolwiek, licznem uczęszczaniem do świątyń pańskich a zadając milcząco kłam statystyce grafa, przedstawiającego miasto jako ruskie.

Mimo wytężonego słuchu i baczного wzroku „ochra-ny“ umiała zawsze znaleźć drogę do jeńców, dzielić z nimi szczupły kęs chleba, nawet pomagać im do uciezki. Wielkie zasługi na tem polu oddała legjonistom wziętym do niewoli hr. Skarbkowa. O ile stosunek Rosjan do ludności katolickiej był poprawny, o tyle do żydowskiej zdecydowanie wrogі. Jawne lekceważenie, okazywane przez nią pogromcom Kiszyniewa, ściągało represję na lud Izraela z byle powodu. W dzień św. Michała 29 września 1914 zainscenizował garnizon mały pogrom, który na szczęście nie przybrał znaczniejszych rozmiarów, mimo że strzelanina na oślepie po ulicach i w okna kamienic trwała przez kilka godzin i pociągnęła trzydzieści ofiar w zabitych a znacznie więcej rannych. Zakończyła się ona konfiskatą kompleksu czteropiętrowych kamienic przy ul. Wałowej, które przeznaczono na pomieszczenie Czerwonego Krzyża i Związku Ziemskiego.

Zachowanie się Rosjan względem ludności polskiej, jej tradycji, wiary, języka, urzędzeń, hojność, znany ówczesny ich dobrobyt, nie pozostały bez wpływu na zmianę orientacji w tych kołach ludności, które nie związane egzystencją zależną od rządu austriackiego, mogły sobie pozwolić na ugodowość i inne pojmowanie rozwiązania kwestji polskiej, jak w związku z koncepcją idei habsburskiej.

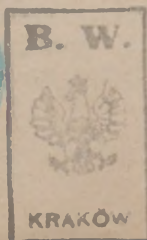
Rozwiązanie legjonu wschodniego było pierwszym sygnałem zmiany, odpowiedzią na manifest W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza. Wtedy już nastąpiło otrzęsienie się z bezkrytycznego austrofilstwa. Poczęto realniej myśleć o przyszłości narodu, jakkolwiek sympatje większości były po stronie sprzymierzonych państw centralnych, dopóki kiedyś w przyszłości pokój brzeski, nie rozprószył resztek złudzeń. Wtedy jednak jeszcze, nie nadszedł był czas.

Zbyt wiele węzłów łączyło zabór austriacki ze zplekaniem krajów i ludów jakim była Austria. Poczucie honoru i wdzięczności za umożliwienie rozwoju ducha narodowego w tej dzielnicy Polski, sentymentalizm względem formacji legjonowych krwawiących się w boju obok c. i k. armji, dzierżenie steru spraw kraju w własnych dłoniach, aż nadto usprawiedliwiały ówczesną lojalność. Nikt nie przewidywał wtedy, jaki obrót wezmą wypadki wojenne. Zdobyte narodowe w dzielnicy austriackiej uważała większość Polaków za skarb, na straży którego nakazywał stać — rozum polityczny. Bizantyńska polityka caratu, szafująca darami Danaów, dawała mniejsze gwarancje, że skarb ten zostanie nienaruszony. Pretensje historyczne do Lwowa i Małopolski po Tarnów, słowianofilstwo na podszywcę pan-rosyjskiego imperjalizmu i zachłanności, przestrzegały zbyt wyraźnie przed optymizmem. Graf Bobryński anektujący Lwów „jako istynno russkij gorod“ miał sposobność przekonać się, że stanowisko mieszczaństwa lwowskiego pozostanie narodowe, bez względu na to, czy z gmachu przy Wałach Gubernatorskich wydaje rozkazy namiestnik austriacki, czy generał-gubernator rosyjski.

Na straży polskości stała bowiem niewzruszenie wyższość kulturalna, przywiązanie do grodu i jego przeszłości, do tradycji narodowej, zwyczajów lokalnych, przywiązanie do pamiątek, do wiary, świątyń pańskich, do tego wszystkiego co wyłącznie nasze, odrębne. Godności tej strzegła czujnie prasa, uszczuplona do kilku czasopism, jak „Słowo Polskie“, „Wiek Nowy“ i „Kurjer Lwowski“, strzegł jej samorząd i jego niezłomny strażnik Rutowski. Fala bizantyńska płynęła wierzchem, powlekając cieniuchną warstewką pokostu obcego zewnętrzny wygląd miasta. Głęboki nurt pozostał niezamącony. Doświadczenie wyniesione z przejścia tej próby ogniowej, wzmocniło tylko hart ducha pogrążonego dotąd w kwiatyżmie społeczeństwa; nauczyło go myśleć, żyć i tworzyć samodzielnie, przekonało o wartości samopomocy, a obalając wiele przesądów klasowych, posunęło szybko rozwój idei demokratycznej.

Więc chociaż fala szła wysoko, rozbijała się na pianę o przedmurze polskich serc, niepotrafiąc zerwać i zmyć z wschodniego bastjonu sztandaru polskości, na którym przyszłość miała wypisać w kilka lat później złotymi głoskami:

... „Leopolis semper fidelis!“



10888



52 373

2



Drukarnia Krajowa
Szczęsnego Bednarskiego
Łódź, Rynek 9.